

Osiągnięcia były oskarżeniem

...Była zima 1938 roku. Polska wchodziła w dwudziestolecie drugiej niepodległości. W kołach parlamentarnych toczyła się dyskusja nad wprowadzeniem kary chłosty. W kinach lansowano, jako przeboje sezonu, filmy polskie: „Ułani ks. Józefa” i „Ty, co w Ostrej świecisz Bramie”. W Wilnie kończył się proces przeciw grupie postępowej młodzieży akademickiej, na czele z H. Dembińskim i S. Jedrychowskim. Rubryki wypadków przynosiły drobnym drukami wiadomości o samobójstwach z nędzy. Kronika towarzyska informowała wielkimi tytułami o przyjęciu u książąt Czartoryskich w Baszkowie.

...Teraz mamy znów dwudziestolecie. Ale jak je porównywać? Co zaslawać? Tamta nędza — z pralką w co czwartej rodzinie! Łuczywo na wsi z motocyklem za siodło! Feudalne relikwie — z demokracją ludową?

Niestrawny byłby to przekładaniec. Z wielu względów. Przede wszystkim za chyba dlatego, że choć prawdą było i zapałki dzielone na czworo i dzieci chronione przed zimnem w workach z trocinami, i bieda-szyby i chałupnicy w podłódkach Brzezinach, którzy szli spodnie po 20 gr od pary — wszystko to wydawało się tym, którzy mają dziś mniej niż 30-kilka lat, już nie być. Nieprawdopodobne.

Po wtóre: gdy mowa o współczesności, to osiągnięcia są osiągnięciami, ale każdy ma równocześnie swoje aktualne kłopoty. Ze maszyn, że chemia, że wielkie budownictwo — świetnie. Ale właśnie winda stoi już drugi miesiąc, w sąsiednim sklepie kolejka, brak czajniczków, rozszalała się nowa szafa, a w pracy zdarzyła się przykrość. I chyba rzecz ludzka, że te codzienne zgryzoły i troski wysuwają się na plan pierwszy.

Wszystkie te zastrzeżenia nie oznaczają przecież, że przeszłość należy reżusować,

a na teraźniejszość patrzeć można wyłącznie przez pryzmat codziennych kłopotów. Porównań nie sposób uniknąć. Szukamy ich jednak wśród faktów, które wówczas uznane były oficjalnie za osiągnięcia.

Głos ma premier, generał Sławoj-Składkowski. Na komisji sejmowej docieka genezy strajków rolnych i zapowiada ich zażegnanie: „...byli przyczyną socjalne, poczucie klasowości, antagonizmy między wsią a dworem, tradycje Szeli, skutki polityki władz zaborskich, które podlegały chłopu przeciw szlachcie, a dalej przebudzenie”. „Bedzie jednak lepiej! Pan premier mówi bowiem dalej: „Zdołałem przeprowadzić to, że zarobki dzienne (robotników rolnych — red.) obecnie wynoszą 90 gr do 1 zł 10 gr, a w sezonie 1 zł 20 gr — 1 zł 90 gr” (przy takiej dniówce bochenek chleba kosztował — Rocznik Statystyczny 1939 — 30 gr). W ten sposób przyczyny socjalne zostały „załatwione”...

A oto mówi minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, p. Świętosławski. Prezentuje inny sukces. W 1938 r. „tylko” 9,3 proc. dzieci w wieku od 7—13 lat pozostanie poza szkołą... W tej materii Rocznik Statystyczny 1939 wnosi poprawkę. Odpowiedni wskaźnik wynosi 10 proc. Ale nie bądźmy drobniogłowi. Zresztą ciekawsze, że np. w woj. wołyńskim, na 100 dzieci 13-letnich, tylko 50 (!) korzystało z nauki (ściśle 49,9).

„Szczesza kartki wertowanych dzienników. Oficjalny organ rządowy, „Gazeta Polska”, konstataje, że nareszcie nastąpił przełom gospodarczy. Ma prawo do tego stwierdzenia. Istotnie, w 1938 r. po latach

Swoją nową książkę Gerard Górnicki ujął w formę „pismnego zeznania”, a więc dokumentu sądowego. Forma ta pozwoliła autorowi na podjęcie i interpretację takich odmian przeżyć ludzkich, których zwykłe sposoby narracji nie są w stanie należycie przedstawić. „Pismne zeznanie” w słowniu większym, niż powieść czy nowela odzwierciedla stosunek autora do osób i problemów.

Gerard Górnicki swoją nową książkę „Powrót Stanleya Kozdry” ujął więc w formę dokumentu sądowego, lecz trzeba od razu zastrzec, iż nie jest to dosłowny, autentyczny dokument. Sądzi, iż autor wybrał tę formę relacji jako konieczny zabieg. Piszac bowiem swoją książkę, reguły dokumentalne przestrzegając jedynie na początku książki. Cała — zresztą niewielka objętość — książka Górnickiego skonstruowana została według zasad noweliści. Zeznanie przestaje być zeznaniem, książka staje się normalną nowelą czy też — jak się to ostatnio modnie określa — mikropowieścią.

Czemuż więc Gerard Górnicki przyjął w swojej nowej książce formę „pismnego zeznania”? Odpowiedź jest prosta. Podjął temat rodzinny, temat bardzo intymny, temat właśnie dokumentalny. To znaczy pisany niby dla sędu, niby dla siebie. Ale jest to dokument wyłącznie pretekstowy. Dlatego nie ośmieliłbym się tu przypuszczać,

kryzysu — przemysł rzeczywiście zaczyna się rozkręcać. Produkcja wzrasta. Jest plan rozwoju Centralnego Okręgu Przemysłowego. Gdyńia tętni życiem. Tak, to jest autentyczny pozytyw. Tylko, że wzrost produkcji oznaczał zbliżenie do poziomu z roku... 1913.

Taki był „szczyt” po dwudziestu latach niepodległości. I to wówczas gdy światowa produkcja, mimo wahań i kryzysów — wzrosła jednak o 50 proc. Zestawienie wygląda na paradoks. Ale właśnie to, co wówczas urzędowo uznawano u nas za sukces, jest najbardziej wymownym oskarżeniem ustroju, który pętał żywotne siły narodu, i który — przy akompaniamencie wielkomocarstwowych hasel — doprowadził kraj do katastrofy.

Była wtedy Polska krajem ludzi niepotrzebnych. Nikt się z tym nie krył i nie uważał tego za hańbę. Cytowała już „Gazeta Polska” powtarzała: „Istnieje poważny nadmiar ludności w rolnictwie oraz wielka ilość ludności całkowicie bezrobotnej. W sumie około 1/3 ludności w Polsce jest „zbędna” w tym

zrozumieniu, że procesy produkcyjne... nie wymagają wcale jej istnienia”...

Była Polska krajem programowego leku przed oświatą. Nie kto inny, tylko referent parlamentarny spraw oświaty, senator Polakiewicz, głosił bez żenady konieczność ograniczenia średniego wykształcenia: „Lepiej jest dać powszechne nauczanie, niż mnożyć i tak liczną u nas średnią inteligencję, która stwarza dużo malkontentów i niezdrowe tendencje”...

Była Polska krajem kolonialnej nędzy. W składach pomyślnym 1927 roku, przed kryzysem, Instytut Gospodarstwa Społecznego stwierdzał, na podstawie ankiety: „budżet robotnika polskiego najbardziej jest zbliżony do budżetu robotnika hinduskiego w Bombaju (in minus dla Polski)”. Pod tym względem aż do końca niepodległości niewiele się zmieniło.

Inne dziś czasy. Co tam komu Bombaj? Jak porównanie, to z czołową przemysłową potęgą europejskich. Co tam średnia światowej produkcji? Już w 1955 r. przekroczyliśmy jej poziom blisko dwukrotnie. Co tam przedwojenna dreptania? W 1962 r. Polska osiągnęła przeszło ośmiokrotny poziom swej wytwórczości z roku 1938.

Wtedy przyniatała stagnacja. Dziś są kłopoty gospodarcze i troski codzienne. Ale szybki, wszechstronny rozwój kraju przywykliśmy uważać za rzecz równie naturalną, jak np. następstwo pór roku. I chyba właśnie w tym przekonaniu tkwi jedno z największych osiągnięć naszego dwudziestolecia...

Feliks Fornalczyk

Nowa książka Górnickiego

że na przykład autor książki to autor owego „pismnego zeznania”, a ojciec z książki to ojciec autora.

Znam dwie wersje nowej książki Gerarda Górnickiego — pierwszą, właśnie dokumentalną, pisaną jak gdyby z konieczności usprawiedliwienia winy — i drugą, zmodyfikowaną, w której ów pierwszy zamysł uległ obiektywizacji. Sprawa Stanleya Kozdry i jego rodziny przestała być na skutek tego sprawa tej jednej rodziny. Autor zdobył się na pewien dystans, który problem książki przesunął z płaszczyzny winy na płaszczyznę konieczności, z zakresu przypadku w zakres wzajemnych zależności wszystkich ludzkich przedsięwzięć, decyzji i postępowania. W efekcie obecna, ostateczna redakcja książki jest o wiele cenniejsza i ciekawsza od poprzedniej, wyjściowej.

Lecz mimo to elementy pierwszego ujęcia „Powrotu Stanleya Kozdry” nie daly się w całości podporządkować i adoptować na rzecz tej drugiej, bardziej uniwersalistycznej koncepcji. Bardziej zresztą, aby autor chciał za wszelką cenę odstąpić od swojego pierwszego pomysłu. Jeśli poddawał

OGŁOSZENIA Tygodnia

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 120 Poznań, 2. II. 1964 Rok IV

Zinspekcji wschodniej części Warthegau, przerwanej salwami artylerii radzieckiej, Greiser wraca do Poznania całkowicie załamany. W nic już nie wierząc, nie jest zdolny do działania. Natychmiast udaje się do swego gabinetu. Tu spędza bezczynnie kilka godzin. Rozsiadłszy się w fotelu, patrzy tępo w jeden punkt. Nie reaguje na nic. Jego najbliżsi podwładni, nawet ci, których jeszcze w przededniu swego wyjazdu zapędził do prac nad tworzeniem Volkssturmu ewentualnie projektowanego przez Reinethartha „Freikorps Greiser”, daremnie czekają na nowe decyzje i rozkazy. Kiedy wreszcie jeden z nich zdobywa się na odwagę i próbuje uzyskać od gauleitera zatwierdzenie opracowanych dyktów, słyszy: To już nie jest aktualne. Nie można tracić Volkssturmu tam, gdzie nie jesteśmy w stanie zrobić. Potrzebny będzie do osłaniania ewakuacji...

To zdradza o czym rozmyśla. Ewakuacja. Ucieczka. Ale o niej może decydować jedynie Hitler. Greiser więc nadal oczekuje. Bierny, całkowicie otepiły od strachu. Przed tym co nadciąga od wschodu. I przed tym co go czeka, o ile podejmie na własną rękę „defetystyczną” decyzję.

Tymczasem wypowiedziane przez niego słowo „ewakuacja” wykracza poza drzwi gabinetu, na mroczne korytarze poznańskiego zamku, które i tak już przypominają poczekalnię dworca, w której podenerwowany tłum oczekuje zapowiedzi o nadejściu mocno opóźnionego pociągu. Każda nowa wiadomość zagęszcza atmosferę beznadziejności. „Oni są już w Kutnie...”. Kiedy próbowano połączyć się telefonicznie z urzędem kreisleitera NSDAP w Wieluniu, usłyszano: „Nie pamiętam...”

W miarę jak szepcane początkowo wieści wypowiadane są coraz głośniejsze, ciężka budowa, mająca niegdyś świadczyć o potęgze Rzeszy Hohenzollernów, przebudowywana jeszcze nie tak dawno na centralne tysiącletnie dominium kolonizatorskie, staje się ogniskiem groźnej epidemii. Jej zarazki rozniecają telefonicznie, porażają coraz to nowe ośrodki władzy okupacyjnej, wywołują w mieszkaniach jej przedstawicieli popłoch i pakowanie waliz.

I właśnie w owe popołudnie 19 stycznia 1945 roku Greiser otrzymuje tekst telefonogramu nadesłanego z Berlina i zaopatrzonego podpisem szefa kancelarii NSDAP — Bormanna.

O godzinie osiemnastej w wielkiej sali konferencyjnej zbierają się ci wszyscy najbliżsi współpracownicy Greisera, których dosięgło jego wezwanie. Wielu brak. O niektórych wiadomo co prawda, że znajdują się służbowo poza Poznaniem. Inni jednak? Czyżby na własną rękę odważyli się na krok, który miał ratunku, może oznaczać strychez?

Zbigniew Szumowski

Zagadkowy telefonogram

Butni niegdyś dygnitarze, skupieni małymi grupkami w kątach nie dogrzanej, źle oświetlonej przez czyste niedopatrzanie sali, wymieniają szeptem pesymistyczne komentarze na temat rozgrywających się wydarzeń oraz złośliwe podejrzenia pod adresem nieobecnych kolegów.

Dopiero po trzech kwadransach przybywa gauleiter. Jak gdyby chcąc rozwiać nastroj panujący na sali, podenerwowanym głosem żąda pełnego oświetlenia. Tym bardziej uwidaczniają się ziemistość jego cery, głębokie cienie pod oczyma.

Siląc się na spokój i rezygnując z jakichkolwiek wstępów Greiser komunikuje, że na rozkaz Fuehrera ma przekazać agencji komisarsza obrony Warthegau placówkom Wehrmachtu i udać się możliwie najszybciej do Berlina w celu objęcia nowego stanowiska. Ponieważ zaś — dodaje — Poznań stał się twierdzą, której obroną kierować ma generał Mattern, można to — na chwilę zawiesza niepewnie głos — uznać za okoliczność zezwalającą automa-

Ostatnie dni Warthegau (4)

tycznie na ewakuację ludności oraz urzędów cywilnych. Wreszcie wymieniwszy nazwiska tych, którzy mają zostać na posterunkach, dziękuje zdawkowo wszystkim za dotychczasową współpracę. W miarę jak żegna się ze swymi dworakami ściskając im kolejno dłonie i życząc bez przekonania „do rychłego zobaczenia”, jeden z adiutantów wręcza szczeniłom nie wyznaczonym do pozostania swoiste zaproszenia do ucieczki: talony specjalnego przydziału bezpłatnej benzyny.

Wkrótce sala pustoszeje...

Dziś co prawda trudno ustalić dokładnie, kiedy sam Greiser wyruszył w drogę na zachód. Wiadomo jednak, że po kilkunastogodzinnym przepychaniu się samochodem zsołą berlińską, wypełnioną po brzegi niekończącym się potokiem wszelkiego autoramentu uciekinierów, dotarł w poniedziałek, 22 stycznia rano do mostu na Odrze. Wprawdzie jego gauleiterowski mercedes został wywołany z kolumny pojazdów przez warujących esesmannów, ale jednocześnie skierowany pod zbrojną eskortą do frankfurckiej siedziby dowódcy tej jednostki, w stopniu gruppenfuhrera. Ten zaś, bez liczenia się z dotychczasowym dostojenstwem Greisera, wylumaczył mu dosadnie, że na rozkaz Hitlera, nie wolno nikomu pod groźbą kary śmierci opuszczać dotychczasowych stanowisk. Ponieważ więc istnieje możliwość, że i on gauleiter Warthegau, dopuścił się aktu dezercji, musi go zatrzymać aż do wyjaśnienia sprawy. Przy tym telefoniczna rozmowa gruppenfuhrera z Berlinem umocniła go tylko w podejrzeniach: w Reichskanzlei nikt nie wiedział o nadaniu owego telefonogramu. A więc...

Greisera ogarnęło przerażenie. Ów telefonogram — jak sobie to natychmiast wykoncyrował — którego autorstwa wypiera się teraz

Bormann, musiał być niczym innym jak jeszcze jednym ogniwem nieprzerwanego pasma intryg, knutych przez „szarą eminencję” przeciwko Himmlerowi i jego ludziom. Widać szef kancelarii NSDAP, zamierza teraz właśnie, kiedy Himmler przebywał jako dowódca grupy armii „Weichsel” w Wałczu, a więc z dala od Berlina, unieszkodliwić swego najpoważniejszego rywala. Dlatego też, by skompromitować go w oczach Hitlera, postanowił wciągnąć w zdradziecką, groźną hańbiącą śmiercią pułapkę, jednego z protegowanych wodza SS.

Na szczęście dla zatrzymanego, frankfurcki gruppenfuhrer nie zrezygnował z okazji, by rozmawiać oświadczyć ze swym „Reichsheini”^{*}. Wkrótce Greiser stał się znówu podróżującym dostojnikiem. A ponieważ do Poznania nie chciał wracać, do Berlina zaś nie mógł jechać, gdyż nie miał już podstaw po temu, udał się pod opiekunkę skrzydła swego protektora. Ten z kolei ani myślał zrezygnować z okazji, by zalać sadzą za skórę Bormannowi; natychmiast przyjął za swoją hipotezę Greisera i udał się samolotem ze skargą na intryganta do Berlina.

Lecz Hitler nie chciał zaprzatać uwagi intrygami rywali. Szczególnie wówczas, kiedy wojska radzieckie przekroczyły już Wartę, parły właśnie niepostrzeżenie ku Odrze. Na himmlerowskie oskarżenia pod adresem Bormanna odpowiedział więc tylko pogardliwym ruchem ręki. Nie bawiąc się jednak w wyjaśnianie pochodzenia owego zagadkowego telefonogramu zadecydował łaskawie: ponieważ Greiser opuścił już z nie własnej winy Poznań, niech wykorzysta ten czas kiedy przejściowo zajęte zostały przez Rosjan tereny Kraju Warty i uda się na leczenie swych dolegliwości wątrobianych do Karlsbadu. Najpóźniej jednak 1 kwietnia powinien wrócić do Poznania, by przystąpić do odbudowy administracji Warthegau.

Po czym, jak gdyby chcąc się usprawiedliwić przed samym sobą za odstępstwo od własnego rozkazu o karaniu śmiercią wszystkich, którzy opuścili stanowiska, dodał: „Ostatecznie Poznań trudno traktować tak samo jak dajmy na to Królewiec. Poznań przecież nigdy nie był prawdziwie niemiecki...”

Jak wiadomo Greiser do Poznania wrócił nie by odbudowywać administrację Warthegau, lecz by stanąć przed polskim sądem i odpowiadać za swe zbrodnie ludobójstwa.

OD AUTORA: Relacja niniejsza powstała głównie w oparciu o źródła niemieckie. Wieloma dodatkowymi informacjami na temat dni wyzwolenia i rozpadu władzy hitlerowskiej w Wielkopolsce dysponują nasi Czytelnicy. Chceąc w przyszłości kontynuować cykl „Ostatnie dni Warthegau”, kieruję do nich gorącą prośbę, o podzielenie się swymi wspomnieniami ze stycznia — lutego 1945 r. w formie listownej, albo też o zgłoszenie do redakcji „Głosu”.

^{*} „Reichsheini” — przydomek Himmlera, nadany mu przez SS-manów.

zaznaje nadal matka za sprawą bezdusznego ojca, poczuwa się syn — autor zeznania. W tym tkwi isola kontrowersji i konfliktu w książce Górnickiego. Jest to jednak książka, w której szkielet akcji jest bardzo wąły, w której mało co się dzieje — dużo natomiast jest tu różnego typu retrospekcji i introspekcji, jako że „Powrót Stanleya Kozdry” zaliczyć należy do książek psychologicznych.

Nie jest to jednakże psychologizm cłkiwy, sentymentalny — przeciwnie: książka tej patronuje Ernest Hemingway ze swoim stylem surowym, męskim, dosadnym. Mogę się zgodzić z tym świadomym nawiązaniem autora „Porretu koła” do prozy autora „Komu bije dzwon”. Mam tylko pretensję do autora „Powrotu Stanleya Kozdry”, że w swoim dążeniu do kontynuacji odległego uwodzącego wzoru tak mało w gruncie rzeczy okazuje jeszcze precyzji i konsekwencji w budowaniu swoich własnych zamysłów prozatorskich.

I dlatego — mimo całego uznania — wolalbym ten sam „Powrót Stanleya Kozdry” wypowiedziany nie z pozycji poczuwającego się do winy syna, lecz jakiegoś uczuleniowca, który by znalazł znacznie więcej desperacji czy może surowości w osądzaniu ludzkiego postępowania.

Gerard Górnicki: „Powrót Stanleya Kozdry”. Powieść. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1963, str. 96 + 2 nb.

Zaczęło się od Koniaku. W pu-rytańskiej Hadze, siedzibie najstarszego mieszczaństwa w Europie, były niedzielne dzwony. W godnej haskiej rodzinie siedziałam przy białej kawie z ciastem. Nagle zwrócił się do mnie po polsku ktoś z gości.

— Czy może mi pani zrobić przysługę i doręczyć to Bronisławowi Zielińskiemu? Gość wręczył mi pakiet i dodał: — Nie znam angielskiego i czytam Hemingway'a w przekładach Zielińskiego.

W pakiecie był przedni koniak. Do tego stopnia przedni, że jego jakość określały już nie gwiazdki lecz litery. Przesyłkę doręczyłam.

— Czy mógłby pan wytłumaczyć — zwracam się do pana Bronisława Zielińskiego, polskiego tłumacza Ernesta Hemingway'a i osobistego przyjaciela — dlaczego na całym świecie ludzie mają jakiś emocjonalny, intymny stosunek do tego pisarza? Dlaczego na teleturniejach ludzie różnego wieku i różnych zawodów popisują się dogłębną znajomością już nie tylko życia pisarza, ale wszystkich jego bohaterów?

Hemingway i jego tłumacz

ROZMOWA Z BRONISŁAWEM ZIELIŃSKIM

— No, cóż... Każdy wielki pisarz tworzy szkołę. Ma swoich wielbicieli i naśladowców. To normalne. Pisanie „pod Hemingway'a” weszło w krew naszej generacji. Wielu młodych pisarzy nawet nie zdaje sobie sprawy, że to robi. Ale ma pani rację: w stosunku do Hemingway'a istnieje coś więcej niż zwykłe imitatorstwo. Naśladuje się styl Hemingway'a nie tylko w pisaniu, ale w mowie, w sposobie bycia... Może dlatego, że Hemingway naprawdę żył. To nie był człowiek „zza biurka”. Licząc na ilość pozycji, nie napisał wiele. Od napisania „Komu bije dzwon” do „Za rzekę, w cień drzew” dzieli pisarza lata...

— „Za rzekę, w cień drzew”, powieść, która wzbudziła tyle kontrowersji. Czy to kawałek jego biografii? Czy występuje tam goethowski problem starca i jego miłości do młodej dziewczyny?

— Problem starca? W tym momencie zrobiło mi się przykro bo jestem tylko kilka lat młodszy od Hemingway'a — uśmiecha się pan Zieliński. — Wszystkie powieści Hemingway'a są kawałkiem jego biografii. Tak samo i „Za rzekę, w cień drzew”. Znam dokładnie jego genezę: Hemingway polował w okolicach Wenecji i kiedy raz strzelił do kaczki, przebitka wojłkowa od kuli raniła go w oko. Przypadek niezwykle rzadki, ale pisarz miał szczęście do tego rodzaju niezwykłych przygód. To była poważna kontuzja. Lekarze nie ukrywali, że nie tylko wzrok, ale i życie jest zagrożone. Leżał więc Hemingway w szpitalu w Padwie pod grozą śmierci i właśnie wówczas napisał „Za rzekę, w cień drzew”. Pułkownik Cantwell to on.

Znać w tej książce napięcie śmierci. Tak, jakby pisarz chciał bardzo szybko, w wielkim koncentracji, powiedzieć i przeżyć wiele.

— Powiedział pan, że Hemingway naprawdę żył. Co pan przez to rozumie? Czy to, że polował?

— Między innymi. Polowanie było jego ulubionym zajęciem. Na pewno byśmy się tak nie zbliżyli, gdybym i ja nie był myśliwym. Wiedział, że poluje, już z naszej korespondencji, ale ucieszył się doprawdy dopiero wtedy, kiedy zobaczył, na naszym pierwszym polowaniu, że strzelam i trafiam.

W gabinecie pana Zielińskiego wisi broń. Taką samą broń dostrzegam na wielkiej fotografii, gdzie za stołem, przy winie, siedzi brodaty pisarz i jego polski tłumacz. Na fotografii dedykacja.

— Widzi pani to słowo? — pan Zieliński wskazuje na słowo „appreciation” (uznanie) — Hemingway pisał spytając mnie, czy pisze się je przez dwa „p”.

— Sprawdza się! Wielcy ludzie często nie znają ortografii!

Rozmawiała
EWA BERBERYUSZ

„AFTER THE FALL” —
NOWA SZTUKA MILLERA

CO NOWEGO W TEATRACH?

Wśród licznych premier na Broadway'u największe zainteresowanie budzi wystawiana tam obecnie nowa sztuka Arthura Millera „After the fall”. Dramat Millera ukazuje się po dziewięciu latach przerwy w jego twórczości pisarskiej. Krytycy amerykańscy podkreślają wyraźną analogię między bohaterami sztuki a osobą autora z okresu jego małżeństwa z Marilyn Monroe. Podobieństwo jest uderzające, nawet w cechach zewnętrznych aktorów grających główne role. Bohaterka sztuki Maggie (Barbara Loden) jest portretem Marilyn Monroe. Równie tragiczne i skomplikowane jest jej życie. Maggie popelnia samobójstwo.

Prasa amerykańska zwraca uwagę na problemy moralne i polityczne w sztuce Millera. W akcie pierwszym autor nawiązuje do przesłuchania w ostawionej komisji do badania działalności antyamerykańskiej. Jak wiadomo, sam Miller w czasie przesłuchania przed tą komisją, odmówił odpowiedzi na prowokacyjne pytania.

Sztuka Millera ściąga codziennie tłumy publiczności. „After the fall” reżyserował znakomity Elia Kazan.

SAGANKA REŻYSERUJE SWOJĄ NOWĄ SZTUKĘ

W Paryżu odbyła się premiera nowej, zapowiadanej już od dłuższego czasu, sztuki Françoise Sagan „Bonheur impair et fesse”. Przedstawienie sztuki na scenie teatru „Edouard VII” było jednocześnie debiutem reżyserskim autorki.

Akcja toczy się w Petersburgu, w końcu ubiegłego stulecia w środowisku arystokracji. Sytuacje i postaci, stwierdza prasa francuska, są jak gdyby żywcem przeniesione z „Zamku w Szwecji”.

Pierwsze recenzje utrzymane są w tonie wstrząsliwym. Już poprzednia sztuka Sagan „La robe mauve de Valentine” nie stała się wydarzeniem artystycznym. Była jednak dobrze wyreżyserowana, zaś w roli głównej występowała Danielle Darrieux. Tym razem autorka sama reżyserowała swą sztukę, popełniając szereg zasadniczych błędów. Zawiodła również Juliette Greco w roli głównej. „Jeżeli nawet sztuka ta została napisana specjalnie dla tej artystki — pisze recenzent „Le Monde” — wytrawny reżyser wiedziałby, że nie jest to rola dla Juliette Greco, albo też, że musi ją ująć całkiem odmiennie. Nie można w najmniejszym stopniu kwestionować wspaniałego głosu, czaru i wdzięku Juliette Greco, ale w tej roli zawiodła. Nie pomogły nawet wspaniałe toalety”.

SZTUKA O NAJDŁUŻSZYM TYTULE

Niemiecki pisarz, zamieszkały stale w Szwecji, Peter Weiss, za debiutuje w kwietniu w Teatrze im. Schillera w Berlinie zachodnim. Już przed premierą sztuka Weissa zwraca uwagę rekordowo długim tytułem: „Die Verfolgung und Ermordung Jean-Paul Marats, dargestellt durch die Schauspieltruppe des Hospizes zu Charenton unter der Anleitung des Herrn de Sade”.

Nie trudno się domysleć, że chodzi tu o dramat ukazujący jednego z przywódców Wielkiej Rewolucji Francuskiej — Marata. Utwór ten przygotowuje polski reżyser — Konrad Swinarski (b. asystent Bertolta Brechta), który oświadczył, że wielu znanych reżyserów zainteresowało się już sztuką Weissa, m. in. Ingmar Bergman — dyrektor Królewskiego Teatru Dramatycznego w Sztokholmie oraz Roger Plachon — dyrektor „Théâtre de la Cité” w Villeurbanne.

„NAMIESTNIK” W NRF

Zainteresowanie, jakie wywołała sztuka Rolfa Hochhutha w Niemczech zachodnich, stale wzrasta. Teatr w Berlinie zachodnim notuje już 160 przedstawienie „Namiestnika”. W najbliższym czasie sztukę Hochhutha wystawia teatry w Duesseldorfie, Frankfurtu, Bremie i Essen.

PAP

Wojciech Jamrozak

Niepokój

(moje milczenie bezwzględnie
atakuję najłżejszy szmer
Jules Supervielle)

I. Chciałbym zrozumieć więcej niż mi przeznaczone
W świecie poza sobą widzę swoje cienie
Słońce zbyt wcześnie zachodzi, aby dojrzeć sedno
A ja chcę być prosty nawet w labiryncie

II. Ze wszystkich stron obszedłem milczenie
Drogę swą znacząc niepokojem
Znam już prawdę co dojrzewa we mnie.



Barbara Kostecka

Widzenie przedmiotowe

Ostrołukowe bramy ślepych róż obrońcy
Ostrołukowe ciernie wysoko patrzący brąz
Ostrołukowe ślepy strop podpierające patrzają
Twarze widziane stopy kaleczące mowę
Boleśnie kaleczone o najbliższy zgrab
W pokoju równorzędną siłę koniu miedzianym
Patrzają
Twarzom ukłon widzący różę ociemniałą



Zbysław Kleczewski

Kamienie

Kamienie koło brzegu
Kamienie jak serca
Czule na rozstanie
Zwilżane przez fale,
Co bez końca
Zmywają przeszłość
Dnia dzisiejszego
Kamienie koło brzegu...
Kamienie rosnące
Stoną falą wspomnień
Nie te kamienie
Nas rozdziela



Na ogół mija szerszej uwadze ciekawe zjawisko, że obok wzrastającego zainteresowania esejem, monografią, pamiętnikami, równoległe ogromną poczynności zyskują zbiory baśni, podań, legend ludowych narodów całego świata. Prof. J. Krzyżanowski wskazywał na pewno niejedno wyjaśnienie tego zjawiska. Baśń niekoniecznie musi odciągać uwagę od spraw ziemskich, przenosząc w świat odrzeczystw, pełen gnomów, krasnoludków i pięknych królowien. Baśń często bywa najostrejszą formą protestu społecznego, przez nią wyraża się najprostsza moralistyka, a niejedną przypowieść da się też odnieść najdokładniej do spraw współczesnych.

Zwłaszcza interesujące są dla nas zbiory baśni narodów, wchodzących w erę swojego rozkwitu. PIW uraczył nas obecnie przełożonym przez Aleksandra Frybesow'a tomem baśni birmańskich Maung Htin Aung'a „O złotych zółwiu”. Świetne są te bajki, doskonale ułożone w lokalnym kolorystyce, w osłabionej aurze wschodu, w tamtejszym klimacie, wśród miejscowych symboli roślinnych i zwierzęcych. Ale... przy lekturze odnosi się ciągle wrażenie, że niektóre wątki, motywy, są pokrewne znanym nam już bajkom, choćby naszym rodzimym. Tu także miści się jakaś wykładnia ludowej mądrości, niezależnie od szczegółów, w końcu przecież identycznej na całym świecie.

Wydawnictwo Literackie wydało

Eugeniusz Pauksza

Znów nowości

Janusza Przymanowskiego tomik opowieści chińskich pt. „Lo-sa, smok bardzo groźny”, opartych o historie zasyłane przez autora w czasie pamiętnego wojażu przez Chiny. Przymanowski siłować umie aurę lirycznego nastroju, cieniuje zabarwienie leciutką ironią dramatyzm opowieści, przy tym zaś sama osnowa tych baśni jest oryginalna i ujmująca swoją egzotyką.

Z KSIĄŻKĄ NA TY

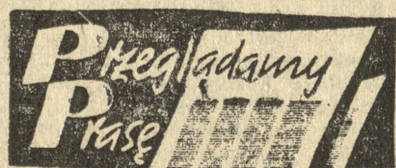
tyka. Doskonała lektura, zwłaszcza dla dorosłych.

A teraz dwie pozycje pisarzy amerykańskich, dotąd w Polsce nie znanych. PIW w serii Klubu Interesujących Książki wydał dwutomową opowieść Jamesa Jonesa „Stąd do wieczności”. Jest to opowieść o wojsku w czasie pokoju, dokładniej o armii stacjonowanej w garnizonie bazy amerykańskiej na Wyspach Hawajskich. Wiele tu krytyki, potępienia, zwłaszcza zaś troski o właściwy układ stosunków między ludzkimi także tam, gdzie rządzi zasada ścisłej hierarchii. Doskonała pełnia jest japoński atak w styczniu 1942 na Pearl Harbour.

„Czytelnik” natomiast w serii „Nike” wydał tomik składający się z dwóch krótkich powieści, stanowiących zresztą

łą dokładnie połowę dorobku twórczego przedwcześnie zmarłego Nathanaa Westa: „Dzień szarańczy” i „Miss Lonelyhearts”. Bardzo to drażliwe, namiętne w pasji oskarżenia i w szczególnego rodzaju sarkazmie, przy tym bardzo zlizowane teksty, ukazujące rzeczywistość współczesnej Ameryki. Zastanawia umiejętność kreślenia tak charakterów ludzkich, jak odkrywczość w naświetlaniu motywów człowieczego postępowania.

W Krakowie, nakładem WL, opublikowano tom szkiców literackich Wacława Kubackiego z lat 1932—1962 pt. „Lata terminowania”. Tom ten jest jakby zsumowaniem dorobku krytycznego wybitnego historyka literatury, przez wiele lat związanego z Poznaniem, obecnie rezydującego na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Kubacki, zarówno w drobniactwach, jak w większych studiach, jest jak zawsze dociekliwy, polujący na syntezy, wyszukujący luk w dotychczasowych formułach rozumowania, by na to miejsce wstawić w pełni umotywowane, choćby nawet początkowo zaskakującą swą odmiennością, własną teorię. Tom ten, to zarazem jakieś odbicie niektórych przynajmniej zjawisk i faktów w polskiej literaturze i krytyce na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat.



LITERACKIE DYSKUSJE

Czasopisma poświęcają dużo miejsca niedawnym (17 i 18 l. br.) obradom Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. Tygodnik „Kultura” publikuje pierwszą część szkicu Jana Zygmunta Jakubowskiego pt. „20 lat współczesnej literatury polskiej z perspektywy historycznej”; w tym samym tygodniku Julian Przybóś rozwija temat poruszony w dyskusji na plenum publikując artykuł pt. „Sojusz pracy ze sztuką”. Autor jest zdania, że do mas trzeba iść ze sztuką bez taryfy ulgowej. Wzorem — według niego — są masowe coroczne konkursy recytatorskie i teatry poezji (jest ich w kraju 300). Autor uważa, iż w oparciu o ten wzór upowszechnienia znaleźć można podobne formy szerzenia plastyki, muzyki, teatru.

Szczególnie dużo miejsca poświęca plenum ZG ZLP dwutygodnik „Współczesność” zamieszczając wypowiedzi (wygłoszone i nie) Stanisława Grochowiaka, Eugeniusza Kabatka, Józefa Lenarta, Barbary Nawrockiej, Romana Samsela

i Władysława Terleckiego. Zwracamy uwagę na polemiczne uwagi Lenarta w stosunku do Antoniego Słonimskiego i Stefana Kisielewskiego na temat demokracji w Związku Literatów Polskich oraz literatury współczesnej.

SPÓR O WIELISZEW

W ubiegłym tygodniu Ajax w „Argumentach” (czasopismo dotarło do nas, niestety, dopiero w poniedziałek), a obecnie Feliks Starzec w „Tygodniku Kulturalnym” podjęli temat związany z sygnalizowaną również w „Głosie” audycje telewizyjna „Wszyscy jesteśmy sędziami”. Przypomnijmy, że w telewizji pokazano spotkanie ludności Wieliszewa z przedstawicielami sądownictwa, prokuratury, MO i rzeczników. Jej celem miało być skonfrontowanie opinii wsi, uważającej, że kierowcy samochodów, pod którymi wpadła 5-letnia dziewczynka (została zabita), otrzymali za niski wymiar kary.

Autorzy obydwu publikacji odwiedzili Wieliszew, wieś pod Warszawą (2 tysiące mieszkańców, Klub Prasy i Książki „Ruch”), PGR — na drugim miejscu w kraju). Publicyści po skonfrontowaniu sytuacji na miejscu uważają, że wieś pokazano w TV jednostronnie i w karykaturalny sposób. Opinia wsi — „jak się okazuje — jest przede wszystkim oburzona faktem, że wyrok w sprawie zapadł dopiero po wielu interwencjach, m. in. „Przyjaciółki” i Prokuratury Gene-

ralnej, w Sądzie Najwyższym; Sąd Powiatowy dwukrotnie umarzał śledztwo.

Publicyści krytykują zwłaszcza jednostronne przedstawienie Wieliszewa; film, który widzieliśmy obejmował tylko część dyskusji na zebraniu wiejskim. Ponadto zdaniem publicystów w fałszywym świetle pokazano tradycje wioski przypominając pogrom czarownic z 1923 roku; tymczasem wieliszewianom bliższe są postępowe tradycje (tu działał podczas wojny oddział Gwardii Ludowej, którego sztandar znajduje się w Muzeum Wojska Polskiego). Feliks Starzec pisze: „skrzywdzono wieś, urażono elementarne poczucie ludzkiej godności”, „narazono na szwank dobre imię telewizji i wielu pism”.

Z MYŚLĄ O JUTRZE

„Polityka” zamieszcza drugi z kolei artykuł na temat dylematów gospodarczych. Aleksander Paszyński zajmuje się polityką inwestycyjną. Autor przypomina, iż słowna obecnie polityka inwestycyjna doprowadziła do tego, że mamy blisko 20 000 placów budowy, z czego większość jest w trakcie realizacji. Praktycznie oznacza to, że przy środkach, jakimi dysponujemy na inwestycje wiele z tych budów ukończonych może być dopiero za 3 a nawet 4 lata. Ta niepożądana czasochłonność inwestycji nie pozwala na zmianę raz ustalonych proporcji chociaż byłoby to pożyteczne dla gospodarki. Staje więc przed nami poważny problem: jak

inwestować? Metody skreślenia są tylko próbą likwidacji ujawniających się nieprawidłowości. Niezależny jednak sięgnąć do źródeł inwestycyjnych trudności, do sposobu, w jaki formułowany jest program inwestycyjny. Autor postuluje w związku z tym opracowanie perspektywicznych programów rozwoju dla poszczególnych gałęzi gospodarki i branż przemysłu.

Z POZNANIA I O POZNANIU

Tygodnik „Kultura” zorganizował redakcyjną naradę przedstawicieli największych i najnowocześniejszych społecznych twórców kulturalnych, w których wziął udział także przedstawiciel Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego; w tym tygodniu w artykule „Grunt, to inicjatywa”, tygodnik publikuje część materiałów narady, zapowiadając następne publikacje, m. in. o działaniu WTK. „Współczesność” przynosi recenzję Józefa Rataja o książkach Bogusława Koguta: „Walka z ciemniem”, „Kłusownicy” i „Naganiacze”. Włodzisław Maciej w „Zyciu Literackim” recenzuje inną książkę Koguta — „Kalina”. Zbigniew Pędziński pisze w „Tygodniku Kulturalnym” o książce Juliana Krzyżanowskiego „Neoromantyzm polski”. „Głos Nauczycielski” (artykuł „Szukamy najlepszych rozwiązań”) i „Zarzewie” (artykuł „Uczniowie z facjatek”), popularyzują inicjatywę Poznania w tworzeniu punktów opieki nad stancjami uczniowskimi. (Pisaliśmy o tym w styczniu br.). Tygodnik Zakładów HCP „Nasza Trybuna” (zwiększona objętość — 8 stron) całe wydanie poświęca obradom Konferencji Samorządu Robotniczego Zakładów H. Cegielski.

LEKTOR